

Europejski Frankenstein

Najpierw miał objąć wszystkie banki świata. Nie wypaliło. Nie udało się też w Stanach Zjednoczonych. W Europie jest z nim różnie. Innymi słowy – i straszno, i śmieszono...

■ Jerzy Szygiel

Kiedy w ubiegłym roku pisaliśmy o upadku idei globalnego podatku bankowego („Upadł zanim powstał” – MF BANK 9/2010), wydawało się, że ów podatek, choć już nie globalny, może jeszcze wejść w życie w Stanach Zjednoczonych i Europie. Dziś możemy powiedzieć, że z tego pomysłu pozostały resztki, i to bardzo oddalone od pierwotnych, „szlachetnych” zamiarów gromko głoszonych przez polityków po wybuchu światowego kryzysu finansowego we wrześniu 2008 r. W tym sensie Międzynarodowy Fundusz Walutowy poniósł klęskę na całej linii.

Świat mówi „tak!”, by powiedzieć „nie”

Warto przypomnieć, że właściwie nie był to pomysł MFW. To szczyt G-20 zebrany na gwałt w Pittsburghu, zaraz po pamiętnym bankructwie Lehman Brothers, zwrócił się do MFW o wypracowanie projektów rozwiązań, które miały w skali globalnej zabezpieczyć systemy finansowe przed podobnymi zapaściami w przyszłości. Kilka miesięcy później fundusz przedstawił dwa raporty, które zawierały trzy propozycje.

Pierwsza z nich postulowała „powszechny udział sektora bankowego w budowie trwałej stabilizacji finansowej”, co prasa międzynarodowa szybko i krótko, zresztą nie bez racji, nazwała „podatkiem bankowym”. Instytucje finansowe miałyby płacić ten podatek w zależności od struktury ich bilansu, szczególnie od stopnia ryzyka, któ-



Fot. www.fotolia.com

ry nań wpłynął. Pieniądze z podatku miały zasilać rodzaj dodatkowego funduszu gwarancyjnego, który pozostawałby do dyspozycji na wypadek nowych bankructw.

Druga propozycja była nieco szersza: sam MFW nazwał ją „podatkiem od działalności bankowej”. Przewidywała bezpośrednie ściąganie części zysków banków i... wynagrodzeń bankowców, które w oczach funduszu „przesadnie rosną bez względu na rezultaty”. W końcu trzecim, najszerszym rozwiązaniem miał być „podatek od ogółu transakcji bankowych”, tj. wprowadzenie w życie nieco zmodyfikowanej idei ekonomicznego noblisty (z 1981 r.) Jamesa Tobina (proponował on podatek jedynie od transakcji walutowych i w zasadzie nie chodziło mu o regulację sektora finansowego, tylko o przeznaczenie tego podatku na cele społeczne).

Kraje G-20 zajęły się właściwie tylko pierwszą propozycją, bo to, co zawierała druga w różnym stopniu rozstrzyga już fiskus, a trzecia zbyt wielu wydała się rady-

kalna i „socjalistyczna”. O ile na początku wprowadzenie globalnego podatku bankowego wydawało się twardym postanowieniem, o tyle w – w miarę czasu – rósł wobec niego coraz większy opór. Pomijając rozważania na temat trudności technicznych i skutków ekonomicznych wprowadzenia takiego podatku w skali globu, głównym argumentem przeciw była jego nieracjonalna niesprawiedliwość. Sam pomysł był postrzegany nie jako wyraz dążenia do powszechnej regulacji finansów, tylko raczej jako pragnienie politycznego „ukarania” sektora bankowego za doprowadzenie do kryzysu. W łonie G-20 dość szybko ustaliła się pozaeuropejska koalicja pod przywództwem Kanady, która nie miała zamiaru „karać” swego systemu bankowego za nadużycia, do których doszło przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych.

Globalny podatek bankowy przeszedł do przeszłości na zebraniu ministrów finansów krajów G-20 w południowokoreańskim Pusanie, w maju zeszłego roku.

Kanadyjski argument przeciwników, podobny do tego, jaki pojawił się w Polsce po ogłoszeniu we wrześniu przez rząd zamiaru wprowadzenia takiego podatku („u nas nie było bankructw”), przeważał: większość państw nie miała zamiaru płacić za błędy popełnione w obcych krajach, uznając własne regulacje finansowe za zdrowe. Miesiąc później, na szczycie G-20 w Toronto, szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego Dominique Strauss-Kahn przekonywał, że nie wszystko jeszcze stracone: „Gdzie znajduje się finansowe centrum świata? Który kraj ma największy sektor bankowy? Stany Zjednoczone. One wprowadzą podatek”.

Ameryka mówi „tak!”, by powiedzieć „nie teraz”...

14 stycznia ub. r. prezydent Barack Obama z wielką pompą wezwał do wprowadzenia „podatku od odpowiedzialności za kryzys finansowy”, zapewniając, że jest „zdeteminowany, by odebrać każdego centa straconego przez naród amerykański”. Według niego podatek miał przynieść 117 mld dolarów w ciągu 12 lat. W lutym Departament Skarbu przedstawił projekt w części fiskalnej budżetu na lata 2010–2011, który przewidywał podatek „około 0,15 proc.” aktywów (bez depozytów i funduszy własnych) pięćdziesięciu największych banków. Miał wejść w życie 1 lipca, nawet wstecznie, gdyby była taka potrzeba. Ale raczej jej nie było.

Mijały miesiące, a parlamentarzyści jakoś niechętnie poruszali ten temat. Izba Reprezentantów w ogóle się tym nie zajęła. W Senacie komisja finansów poświęciła problemowi trzy posiedzenia na przełomie kwietnia i maja. Szef komisji, demokrat Max Baucus, był za, ale szef republikanów w tej samej komisji Chuck Grassley był zdecydowanie przeciw, przekonany że podatek faktycznie zapłacą klienci „w formie podwyżek oprocentowania kredytów czy innych opłat”.

Z podatku bankowego w Ameryce powietrze zeszło ostatecznie po listopadowym zwycięstwie republikanów w wyborach parlamentarnych. Lobbyści Goldman Sachs, Bank of America i kilku innych wielkich banków, początkowo bardzo aktywni, nie musieli już nawet tracić energii, by dobić ideę. Sam Barack Obama nigdy już nie wrócił do tematu, a jego administracja nie wykazała żadnej specjalnej inicjatywy.

W grudniu Douglas Elliott, członek Brookings Institution, który przed senacką komisją wypowiadał się na rzecz podatku, wyjaśniał Reutersowi, że „to nie jest już kwestia lobby, tylko zmiany okoliczności. Teraz, kiedy wydaje się, że operacja ratowania banków prawie nic nie kosztowała podatników, powody – dla których mieliśmy wprowadzić podatek – po prostu wyparowały”. Przed świętami Strauss-Kahn stracił złudzenia co do Stanów Zjednoczonych: „Podatek bankowy nie wszedł w życie i obawiam się, że już nie wejdzie”.

Europa mówi „tak!”, by powiedzieć „to zależy”...

Szwecja wprowadziła podatek bankowy już w 2008 r., nie czekając na propozycję MFW, lecz ma on bardzo ostrożną formułę – utworzono roczną rezerwę wartości 0,036 proc. pasywów wielkich banków. Szwedzi już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku wprowadzili prekursorski podatek od transakcji bankowych (wersję idei Jamesa Tobina), lecz to się skończyło masową ucieczką instytucji i maklerów do londyńskiego City. Zebrane sumy okazały się 100 (!) razy mniejsze od oczekiwanych, więc teraz, choć ciągle są odważni, działają umiarkowanie. Podatek bankowy został też szybko wprowadzony na Węgrzech, ale nie ma on wiele wspólnego ze szczytnymi zamiarami regulacji czy zabezpieczenia rynku – chodzi o zasilenie budżetu w ciężkiej sytuacji tego kraju.

Ogółem 10 krajów Unii wprowadziło lub wprowadza (projekty są na różnych etapach legislacji) podatek bankowy. Wszędzie wygląda to trochę inaczej, ale generalnie są one kombinacją pierwszej i drugiej propozycji MFW. W gruncie rzeczy kształt podatku zależy od wizji polityczno-ekonomicznych poszczególnych rządów i do tej pory nie został skoordynowany na szczeblu unijnym. W połowie zeszłego roku najbogatsze kraje – Niemcy, Francja i Wielka Brytania uzgodniły, że dadzą przykład całemu kontynentowi i już pod koniec lata ogłosiły swoje projekty. Niemcy zakładają, że zbiorą 1,3 mld euro rocznie, Francuzi ok. 1 mld, a Brytyjczycy ok. 3 mld.

Oczywiście pojawia się pytanie, czy takie sumy będą w stanie pomóc sektorowi bankowemu w razie nowego kryzysu systemowego. Większość bankowców traktuje to jako polityczną iluzję. Jeśli model ma działać jako rodzaj ubezpieczenia zbudowany

na wzajemności ryzyka, to w razie jakiegoś kataklizmu nie może zadziałać, bo wszyscy zostaną nim dotknięci. W dyskusjach wraca problem „sprawiedliwości” podatku: jest jasne, że opinie publiczne w Europie (jak wskazują sondaże, zaufanie do banków wcale nie rośnie) na ogół popierają jego ideę, gdyż uważają, że banki należy „ukarać” – kazać im płacić przynajmniej za część strat poniesionych w czasie kryzysu. Tymczasem większość banków twierdzi, że nie odpowiada zań w żadnym stopniu – dla nich wprowadzenie dodatkowej taksacji to bardziej wyraz populizmu i narzucanie odpowiedzialności zbiorowej niż autentyczne remedium systemowe.

W czerwcu tego roku Komisja Europejska ma zająć się projektem europejskiego podatku bankowego, w ramach tworzenia Europejskiego Mechanizmu Stabilizacji, który w 2013 r. ma zastąpić aktualny Europejski Fundusz Stabilizacji Finansowej. W ujawnionym przez Reutersa styczniowym raporcie wewnętrznym Komisji można przeczytać, że „interes sektora finansowego wymaga istnienia ostatniej deski ratunku, która zabezpieczałaby zdolność władz publicznych do przeprowadzenia operacji ratunkowej”. Raport proponuje podatek w wysokości 0,2 proc. aktywów banków w strefie euro, co miałoby przynieść ok. 50 mld euro.

Na razie nie bardzo wiadomo, jak to się będzie miało do dotychczasowych, krajowych procesów wprowadzania podatku. Jeśli taki podatek ma istnieć, to z pewnością przydałaby się jakaś koordynacja. W tej chwili krajowe projekty wahają się od Sasa do lasa – np. w Niemczech podatek ma obciążać wszystkie banki, a we Francji tylko ok. 20 największych; Niemcy i Francja mają opodatkować tylko narodowe instytucje, a Wielka Brytania wszystkie, które znajdują się na jej terytorium, co stwarza problem podwójnego opodatkowania; Niemcy chcą budować oddzielny fundusz gwarancyjny, a Francja i Wielka Brytania myślą o integracji zebranych funduszy z budżetem... itd. Są oczywiście kraje, jak Hiszpania, które w ogóle nie mają zamiaru wprowadzać żadnego podatku, gdyż uważają, że ich system bankowy jest na to zbyt kruchy w sytuacji zagrożenia bankructwem państwa.

Podatek bankowy wygląda więc na razie jak niedokończony Frankenstein, z którym Europa pozostała sama. Paradoksalnie – to co miało uspokajać, straszy. ■